ALFRED FIDERKIEWICZ

Dnia 31 lipca 1945 r. w Krakowie, sędzia śledczy Jan Sehn, członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, na wniosek, w obecności i przy współudziale członka tejże Komisji, prokuratora Edwarda Pęchalskiego, przesłuchał w trybie art. 254, w związku z art. 107, 115 kpk, w charakterze świadka byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 138 907, który zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	dr Alfred Fiderkiewicz
Data i miejsce urodzenia	2 lipca 1886 r. w Horodeńcach
Imiona rodziców	Grzegorz i Rozalia Wielogórska
Zawód	lekarz
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Wyznanie	rzymskokatolickie
Stan cywilny	żonaty
Miejsce zamieszkania	Kraków, ul. Straszewskiego 41 m. 8

W czasie wojny prowadziłem praktykę lekarską w Milanówku pod Warszawą, gdzie zostałem aresztowany po raz pierwszy 14 września 1940 r., a następnie po raz drugi 7 września 1942 r. Do Oświęcimia przywieziony zostałem z Warszawy, z Pawiaka, w grupie ok. 1400 więźniów 26 sierpnia 1943 r. i przebywałem tam, aż do oswobodzenia przez zwycięską Armię Czerwoną.

Przeżycia swe w więzieniach warszawskich oraz w obozie oświęcimskim spisałem na 52 stronach maszynopisu, który obecnie przedkładam, w celu załączenia go do niniejszego protokołu, jako jego istotną część. (Świadek przedłożył maszynopis obejmujący 52 karty, zapisane jednostronnie. Maszynopis ten załączono do protokołu).

Zawarte w przedłożonym przeze mnie w maszynopisie szczegóły opisałem na podstawie osobistych przeżyć i mojej bezpośredniej obserwacji, biorę za ich treść pełną odpowiedzialność, w dowód czego podpisuję zarówno protokół niniejszy jak i przedłożone przeze mnie opracowanie, karta za kartą, własnoręcznie.

Dopisane pismem ręcznym wyrazy i zakreślenia na stronach maszynopisu 2, 4, 5, 6, 8, 11, 13, 18, 21, 22, 24, 25, 27, 28, 29, 31, 34, 37, 38, 39, 41, 45, 50, 51, 52 pochodzą z mojej ręki.

Na tym czynność i protokół niniejszy zakończono. Odczytano.

Zeznanie Prezydenta [Krakowa, Alfreda] Fiderkiewicza

Pierwszy raz zostałem aresztowany 14 września 1940 r. Przyjechało po mnie samochodem dwóch gestapowców i oświadczyło mi, że jestem aresztowany jako komunista. Wtedy istniał pakt niemiecko-sowiecki, ale wcale nie dziwiło mnie, że ten powód służył im za pretekst do aresztowania.

W moim domu znajdował się wtedy literat Władysław Kowalski, dzisiejszy wiceprezydent Tymczasowej Krajowej Rady Narodowej. Zapytany, kim jest odpowiedział, że jest literatem, aresztowano go więc razem ze mną. Przewieziono nas na Pawiak.

Na Pawiaku wprowadzono nas na oddział drugi, tj. do piwnicy, kazano nam się rozebrać, obito nas pięściami, ogolono, a w parę dni później przeniesiono do sali. Więźniów rozdzielono do różnych cel. W tej, w której ja się znajdowałem przebywało 13–14 osób, mimo że przeznaczona ona była na dwie. Leżeliśmy pokotem na słomiankach wśród strasznego zaduchu. Z tego powodu po kilku dniach zachorowałem i znajomy felczer, który pracował [jako cywil] na Pawiaku zabrał mnie do szpitala.

Po kilku dniach mój stan poprawił się o tyle, że ordynujący dr Babski zaproponował mi pracę w szpitalu. Warunki moje poprawiły się z miejsca i od razu miałem możność obserwowania bestialstw gestapo wobec więźniów.

Większość pacjentów leżała w szpitalu z powodu ran i ciosów zadanych przez gestapo w al. Szucha w Warszawie, dokąd brano ich z więzienia rano, a przywożono wieczorem. Pamiętam, jak jednego dnia przywieziono do szpitala chłopaka tak zbitego, że nikt z nas poznać go nie mógł, plecy miał zsiekane do krwi, widać tępym narzędziem, prawdopodobnie pałką gumową – według jego opowiadania otrzymał sto razów. Zaimponował mi ten chłopak, bo na pytanie, czy coś powiedział odrzekł: „Nic im nie powiedziałem, nic nie wydałem i z pewnością się ode mnie niczego nie dowiedzą, bo boli tylko pierwszych 20 uderzeń". W drugim wypadku również chłopak, lat ok. 18, przyniesiony do szpitala na noszach, był tak zbity i zmaltretowany, że niczego w pierwszej chwili od niego dowiedzieć się nie było można. Po paru godzinach, jednak powiedział, że go wieszano na hakach, bito go trzonem rewolweru po głowie, wkuwano mu drewniane szpilki w podeszwy tak długo, że torturowany wydał wszystkich swoich znajomych w liczbie 17. Na moje pytanie, dlaczego to zrobił, rozpłakał się strasznie i całym głosem krzyczał: „Nie wytrzymałem, nie wytrzymałem! Bardzo żałuję, ale nie mogłem wytrzymać!".

Jeszcze w innym przypadku młoda kobieta, ok. 28 lat, artystka-malarka została przywieziona z gestapo tak strasznie pobita i pokaleczona, głównie w pośladki, że trudno było pozszywać strzępy ciała porozrywane w różne strony. Pacjentka ta pluła krwią, widać było, że z powodu bicia miała uszkodzoną klatkę piersiową i miąższ płucny, porozrywane naczynia krwionośne i stąd wybuchy krwi ustami i nosem powtarzały się jej codziennie. Mąż tej kobiety był oficerem polskiej armii, który dostał się do niewoli, a ona zajęła się pracą podziemną, weszła do pracy konspiracyjnej, ale mimo tego bicia nie wydała nikogo i hart jej wskazywał, że nie ma takich tortur, które by ją zmusiły do powiedzenia czegokolwiek. Takich wypadków było codziennie po kilka czy kilkanaście do tego stopnia, że szpital był nie szpitalem dla chorych, ale szpitalem dla rannych z powodu bestialskich sposobów badania przez gestapo.

Moje śledztwo jest charakterystyczne. Miało miejsce w czasie sojuszu sowiecko-niemieckiego. [Pomimo tego] jednak się odbywało. 28 września 1940 r. zostałem wezwany, albo wzięty na przesłuchanie do gestapo przy al. Szucha. Krzykiem i hałasem oświadczono mi, że jestem komunistą, jeździłem do Rosji, a w Sejmie jako poseł wygłaszałem przemówienia o charakterze komunistycznym. Pokazano mi stos akt, które miały być niby przeciwko mnie, a więc wszystkie stenogramy sejmowe z wszystkimi moimi przemówieniami. (Rzuca to światło na sposób, w jaki oni każdego człowieka mieli w ewidencji tzn. korespondent niemiecki, który siedział w sejmie, równocześnie wszystko szufladkował). Potem pokazano mi wycinki z różnych gazet, wszystkie przedstawiające mnie karykatury, gdziekolwiek zostały opublikowane, a więc w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym", „Kurierze Porannym" itd. Tych karykatur ja sam w domu nie posiadałem, chociaż widziałem je w swoim czasie. Badanie szło po linii [tego], czym się zajmuję, na co oświadczyłem, że jestem lekarzem, że praktykuję w Milanówku, że leczę bardzo dużo pacjentów, a między innymi dużo pacjentek Niemek, że moją specjalnością jest ginekologia, [że] mam dostateczne dochody z praktyki i nie potrzebuję być na służbie żadnego innego państwa. Musiałem opowiedzieć cały swój życiorys od urodzenia, przez wyjazd do Ameryki, gdzie pracowałem w kopalni węgla, w fabrykach metalowych, w Nowym Jorku przy dokach portowych. Opowiedziałem, jak uczęszczałem na medycynę równocześnie pracując itd., aż do czasu przyjazdu do Polski i o swojej działalności w kraju.

Naświetliłem swój punkt widzenia dotyczący sprawy reformy rolnej w państwie polskim i powiedziałem im, że stoję i stałem na stanowisku [opowiadającym się za] reformą rolną, że dążyłem do utworzenia Polski demokratycznej i wierzę, że ta prędzej, czy później nastąpi. Zapytali mnie, czy ja rozumiem to, że Polska nigdy nie powstanie.

Odpowiedziałem, że tego nie można nigdy powiedzieć, [że] ja jako Polak nie mogę myśleć, że Polska już więcej żyć nie będzie.

Potem zarzucono mi, że należałem do Stronnictwa Demokratycznego i byłem członkiem zarządu. Zapytano mnie, kto jest przewodniczącym – odpowiedziałem, że prof. Michałowicz. Nie ukrywałem nazwiska, bo rozumiałem, że nie mogłem ukryć, oni bardzo dobrze wiedzieli. Potrafiłem jednak osobę profesora zbagatelizować, że jest to sobie taki gruby, tłusty pan, który na posiedzeniach klubu demokratycznego raczej nie zajmuje się polityką, a opowiada kawały i klub demokratyczny jest raczej stowarzyszeniem aniżeli jakąkolwiek organizacją polityczną. Na pytanie, jaki był nasz program odpowiedziałem, że programu nie było i program ten tworzył się, ale określonej linii do czasu wojny nie znaleziono i nie ustalono.

W sprawie wyjazdu do Związku Radzieckiego również musiałem zająć podobne stanowisko. Zbagatelizowałem cały ten wyjazd, stwierdziłem, że pojechałem tam z innymi z ciekawości, [że] nic nie umiem o Rosji powiedzieć, ponieważ nie znam języka rosyjskiego i wszelkie ich przemówienia uważałem za banalne, a i że to co nam pokazywano w Rosji [to] pokazywali [nam] tylko to co oni chcieli [żebyśmy widzieli], tak że istoty rzeczywistości rosyjskiej nam nie pokazano. Wówczas zmienił się ton w stosunku do mnie i po trzy i pół godzinnym badaniu powiedziano mi, że zostanę zwolniony.

Istotnie, 11 października 1940 r. zostałem zwolniony. Równocześnie został zwolniony ob. Władysław Kowalski. Na wolności dopiero dowiedziałem się, dlaczego zostałem tak potraktowany i nie pobity. Moje pacjentki złożyły masę podań z prośbą o zwolnienie mnie, a jedna z nich – Polka z poznańskiego, p. Aniela Kurka – miała dalekiego krewnego SS-mana, który był podoficerem SS, i ten – za pomocą bib z kolegami – spowodował, że mnie nie bito i, jak określił, sprytna moja obrona dała mu możność zwolnienia.

Drugi raz miałem rewizję 7 września 1942 r. Oświadczono mi, że jestem aresztowany. Podczas rewizji szukano broni, a znaleziono u mnie flagę biało-czerwoną, co ich zaskoczyło, bo spodziewali się znaleźć czerwoną. Połamali drążek flagi, a płótno schował Gosłynowicz do kieszeni jako *corpus delicti*. Próbowałem ich przekonać, że aresztowanie mnie jest niesłuszne, że polityką się nie zajmuję, że jestem tylko lekarzem. Wsadziłem im kilka tysięcy złotych do kieszeni i opuścili moje mieszkanie [informując mnie], że przeprowadzą dalsze badania, że albo mnie wezwą, albo przyjadą po mnie jeszcze raz, jeżeli się okaże, że pracuję

w jakiejkolwiek organizacji, bo nie wiedzą o mnie nic dokładnie. Więcej do mnie nie przyszli, aż do 28 czerwca 1943 r., ok. godz. 3.00 w nocy.

Zadzwonił dzwonek u bramy. Przez okno zawołano do mnie, że to policja, a gdy wyszedłem, już w drzwiach stało kilku SS-manów z wyciągniętymi rewolwerami. Kazali mi podnieść ręce do góry. Zauważyłem wówczas, że cała moja posesja w Milanówku, wtedy przy ul. Żwirowej, obecnie ul. Doktora Fiderkiewicza, jest otoczona przez ok. 20 SS-manów niemieckich i ukraińskich. Przeszukali cały dom, zabrali mnie, mojego szwagra inż. Tadeusza Urbańskiego i mojego ogrodnika Wojciecha Adamczyka. Wsadzono nas do ciężarówki. Jeździliśmy w dalszym ciągu po Milanówku. Aresztowali jeszcze kilka osób, a potem zawieziono nas do baraków w Grodzisku Mazowieckim. Tam kazano nam przykucnąć i w takiej pozycji bez wody, bez jedzenia przesiedzieliśmy do wieczora. Siedzieliśmy w kucki obok wciąż nowo przywożonych ludzi z różnych miasteczek, [takich] jak Sochaczew, Żyrardów, Mszczonów, aż zebrano nas ok. 200 osób.

Przed wieczorem wsadzono nas do samochodów ciężarowych z żołnierzami i żandarmami w pełni uzbrojonymi z karabinami maszynowymi, [eskortowały nas] dodatkowo samochody z przodu i z tyłu, i tak całą karawaną wprowadzono nas na dziedziniec Pawiaka. Tam bijąc nas pałkami wprowadzono do podziemnych lochów i tam oddano na pastwę [funkcjonariuszy] SS – Ukraińców, którzy przede wszystkim obrabowali nas doszczętnie, a potem obili każdego. Następnie ogolono, ostrzyżono i pchnięto nas do jakiejś sali, która normalnie mogła pomieścić kilkadziesiąt osób. My znaleźliśmy się tam w [liczbie] ok. 400. Tak przestaliśmy jeden przy drugim całą noc, gdyż o położeniu się nie mogło być mowy. Dopiero rano rozdzielono nas do cel. Mnie umieszczono na oddziale szóstym, w celi normalnie przeznaczonej dla czterech osób – wtedy znalazło się tam 28.

Wśród więźniów byli podejrzani [z powodów] politycznych, a reszta to byli złodzieje. Dzień w tych warunkach można było przebyć jako tako. W nocy było najgorzej, bo mieliśmy tylko kilkanaście wytartych sienników. Właściwie jeden na drugim leżał, bo trudno powiedzieć, że jeden przy drugim. Kubeł umieszczony pośrodku zwiększał duszność w celi. Rano wstając oczekiwaliśmy momentu otwarcia celi, aby można było przejść do ustępu i umyć się. Przeznaczono nam wszystkim, tzn. całemu oddziałowi składającemu się z dwudziestu kilku cel, czas dziesięciu minut. Cały „spacer" do toalety odbywał się w asyście krzyczących Niemców, SS-manów niemieckich czy ukraińskich. Ktokolwiek nie mógł nadążyć, tego bito i kopano. Powrót z ustępu odbywał się przy wzmożonej asyście bicia, żabek, przysiadów,

a przy samych drzwiach prawie każdy dostawał kijem po plecach. Takie tortury odbywały się dwa razy dziennie, rano i popołudniu.

Po kilku dniach wzięto z naszej celi cztery osoby, jak słyszeliśmy z całego Pawiaka około sto osób, i więcej ich nie widzieliśmy. Wiedzieliśmy, że ich rozstrzelano. To samo działo się prawie codziennie. Do celi przychodzili coraz to nowi ludzie, ilość w celi nie zmniejszała się, a nawet raz wzrosła do 36 osób, po to aby w następnych dniach znowu spaść do dwudziestu kilku. Rozstrzeliwanie odbywało się codziennie. Nikt z nas nie wiedział, kiedy zostanie wezwany i kiedy pożegna [się ze] światem.

Po paru tygodniach pobytu zachorowałem bardzo ciężko. Dzięki znajomości z felczerem Masłolarczykiem – Polakiem, i lekarzem więzienia Śliwickim – również Polakiem, zabrano mnie do szpitala i tam przebywałem do czasu wyjazdu. W szpitalu nie leczono nikogo, nie dostawało się prawie żadnych lekarstw, żywienie było nieco lepsze, warunki mieszkaniowe także o wiele lepsze aniżeli w celi. Bywały jednak momenty, że wpadali SS-mani i bili nawet chorych więźniów, ale jedna rzecz się nie zmieniła – ze szpitala brano na rozstrzeliwanie tak samo, jak i z celi, nawet na noszach wynoszono chorych, którzy nie mogli iść. Ze szpitala obserwowaliśmy ruchy dniem i nocą, setki samochodów przyjeżdżały z nowymi więźniami, setki samochodów wyjeżdżały z transportem w różne strony – do Majdanka, Oświęcimia, Dachau itd.

25 sierpnia 1943 r. zabrano więźniów z wszystkich cel – ok. 1400 osób, spisano nas, wpakowano wszystkich do osobnego oddziału transportowego i ok. godz. 3.00 w nocy pośród wielkiego krzyku SS-manów, w asyście pałek, drągów, batów, wpędzono nas do ciężarówek, a później na Dworcu Gdańskim do pociągu złożonego z zakratowanych wagonów ciężarowych, od 75 do 85 osób na wagon.

„Oświęcimska Bestia"
(Obóz Oświęcim-Birkenau)

Będąc jeszcze na wolności dziwiłem się, dlaczego krewni dostają zawiadomienie o zgonie aresztowanego [przeważnie] po dwóch – trzech miesiącach. Dlaczego właśnie po dwóch miesiącach?

Dopiero gdy mnie aresztowano w czerwcu 1943 r. i wysłano w sierpniu 1943 r. do Oświęcimia, przekonałem się, że można tam prędzej zginąć, a dwa miesiące są czasem z góry określonym

przez komendanta lagru. Założeniem jego było: tu nikt nie powinien żyć dłużej niż dwa miesiące, musi być miejsce na następnych.

W nocy wpakowano nas z Pawiaka na samochody do pociągu od 75 do 85 osób na wagon. Wagony ciężarowe zamknięte i zaplombowane, okno zakratowane tak, że powietrze dostawało się tylko [przez] szpary. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Oświęcimia. Widziałem przed sobą dwa miesiące życia. Zadowolony byłem z tego, bo byłem zdania, że mnie rozwalą na Pawiaku, ale tak się nie stało, bo nie było wsypy.

W miarę zbliżania się południa, a dzień był upalny, w wagonie stawało się bardzo duszno. Każdy z nas szukał szpary, przez którą można by było uchwycić trochę powietrza. Stałem przy drzwiach i szczeliną łapałem powietrze, ale na każdą dziurkę przypadała kolejka i trzeba było ustępować następnemu. Już w połowie drogi mąciło mi się w głowie i zdawało się, że nie dojedziemy do Oświęcimia. Ludzie napchani jak śledzie stali się złośliwi i niespokojni. Młodsi chcieli rozbić wagon i uciec, ale eskorta była bardzo duża i wątpliwe było, aby ktoś mógł się stąd wydostać żywy. Ani jedzenia, ani nic do picia nie dano nam podczas całej podróży, potrzeby fizjologiczne załatwiano po kątach. Jedynym naszym ratunkiem było dostać się jak najszybciej do obozu.

Ciemno już było, gdyśmy zobaczyli oświetlenie obozu, jedynej naszej nadziei, że dostaniemy powietrza i wody. Wreszcie pociąg stanął, otworzono drzwi. Z wrzaskiem jakichś dzikusów rozniósł się wielogłosowy krzyk: *Heraus! Heraus!*, posypały się drągi na karki ludzi zmęczonych i słabych. Nikt z nas nie miał więc odwagi krzyknąć, ani jęknąć. Kazano nam ustawić się w piątki, bito drągiem każdego, komu nie udało się szybko ustawić. W tym momencie wyrzucono z wagonów 14 trupów tych, którzy w wagonach zmarli z powodu braku powietrza. W tym samym momencie, o kilka kroków ode mnie, bito drągami człowieka, ponieważ chwiał się na nogach, wreszcie wpadł SS-man i celnym uderzeniem drągiem w kark, skończył jego cierpienia. Człowiek wydał tylko z siebie głos dobijanego zająca i już nie żył. Kilku z moich sąsiadów wzięto do składania trupów do rowu i tego świeżo zabitego również. Teraz przekonałem się, że można zginąć i ginie się w Oświęcimiu szybciej niż w dwa miesiące.

Stanęło nas w piątkach ok. 1400 osób otoczonych [przez] uzbrojonych bandytów – SS-manów i kapo. Rozpoczęło się gnanie, rozlegały się tylko głosy: *Schnell!* i walenie drągami. Każdy z nas biegł, jak mógł. Trzymałem się w środku, to też drąg mnie ominął, ale wkoło mnie padały cięgi,

ilu padło po drodze, nie wiem. Za nami jechał wóz z trupami, bo u Niemców musi się cyfra zgadzać, żywy czy umarły, ale nikogo nie może brakować.

Spędzono nas do bloku, czyli do sali, w której można pomieścić maks. 500 osób, ale musieliśmy się wszyscy zmieścić. Jeden przy drugim, czy jeden na drugim, ale nikt nie protestował, każdy był wystraszony. Był to koszmar, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałem. Widziałem dużo będąc podczas wojny na wolności, widziałem dużo na Pawiaku, sam dostałem trochę, ale takiego obchodzenia się z ludźmi lub zwierzętami nigdy sobie nie wyobrażałem.

W krótkim czasie zjawił się jakiś pan blokowy, Żyd, mówiono, że z Białegostoku. Również *Häftling* [więzień], ale już prominencja z kilkoma *Pflegerami* i rozpoczął do nas przemówienie: „Wy bandyci pamiętajcie – jesteście w lagrze, porządek tu musi być. Wam się chciało na wolności hulać, tutaj nauczycie się rozumu, tu zobaczycie, co to jest dyscyplina!" – i wymyślał, i pluł wyrazami, które do druku się nie nadają. Wreszcie na zakończenie powiedział, że rano dostaniemy kawy. Prosiliśmy o wodę. W odpowiedzi jednak usłyszeliśmy stek wymyślań: „Bandyci! Wody wam się zachciewa" – straszny błysk w oczach tego pana oraz drąg w jego i jego asysty rękach, ostrożniejszym nakazał milczenie, jedynie jakiś inżynier zagroził, że poskarży się władzom, bo ma zamiar pójść pracować u Todta. Dostał po głowie drągiem tak, że tylko dzięki ściskowi udało się go pokrwawionego wyrwać z rąk siepaczy. Nad ranem zobaczyłem, że za buty z cholewami, za cebulę lub słoninę, można dostać w garnku trochę kawy lub wody. Osobiście niczego z tych rzeczy nie posiadałem, ale miałem zapasowo parę chusteczek i skarpetek i za to próbowałem dostać trochę wody, ale na moją propozycję usłyszałem: „Ty durniu, ja twoich szmat nie potrzebuję, dostaniesz po mordzie, wiej póki czas" – to też zwiałem i razem z setkami innych patrzyłem na tych, którzy pili.

Rano wypędzono nas na plac i tam spisywano nasze personalia i tatuowano. Wykłuto mi na lewym przedramieniu nr 138 907. Przestałem być Fiderkiewiczem, a stałem się numerem. W tym samym czasie, oddalona od nas o kilkanaście kroków, grała orkiestra na FKL [*Frauenkonzentrationslager*], która choć grała wesoło, równocześnie wydawała jakoś dziwnie żałosne tony i było to coś w rodzaju, jak gdyby to nie muzyka była, a katarynka. Była to orkiestra kobieca. Zamiast rozweselać, raczej strachem przejmowała. Było w tym czuć grozę.

Wszystkie czynności związane z zapisaniem i tatuowaniem robili *Häftlindzy* – Polacy i Żydzi, ludzie inteligentniejsi, na ogół grzeczni, doradzali po cichu, żeby jak najmniej używać tytułów,

bo człowiek z wykształceniem jest [jak] najgorzej w obozie traktowany. I tak inżynierzy stawali się technikami, budowniczy stawał się cieślą, murarzem, adwokat – pisarzem, ale lekarze zgłaszali się jako lekarze.

SS-mani pokazywali się tylko tu i ówdzie, od czasu do czasu. Ich obecność napawała strachem nie tylko nas nowoprzybyłych, ale i wszystkich pracujących, których w pierwszej chwili uważaliśmy za wielkich ludzi. Ani o jedzeniu, ani o piciu mowy nie było. Studnia [znajdowała się] w pobliżu, ale paru odważnych, którzy chwycili po kubku wody, dostało drągami po plecach. Wzięto nas wreszcie do kąpieli. Zabrano nam wszystko, cokolwiek kto posiadał, zabrano nam ubranie, żywność, dano nam marne drelichowe ubrania, zostawiono jedynie obuwie. Wykąpani, kolejno dostawali miskę jakiejś zupy – miska na pięć osób, bez łyżki tak, że każdy mógł trochę połknąć. Byłem piąty przy misce, bo byłem słabszy od swoich wspólników, ale zostawiono mi odrobinę, za co byłem wdzięczny. W godzinę później poprowadzono nas do kwarantanny (w Brzezince) do lagru.

Kwarantanna

Jest to szereg 18 bloków, do których spędza się nowicjuszy. Każdy blok mieści ok. 500 osób. W blokach stoją trzypiętrowe prycze, na każdą pryczę przeznacza się między sześć a dziesięć osób. Sienników ani koców nie ma, są tylko gołe deski. Dachy dziurawe, pułapy bez bocznych uszczelnień, przez co deszcze i wiatr bez trudności dostają się do wnętrza. Na czele bloku jest blokowy – *Häftling*. Bywają blokowi lepsi i gorsi. Na moim bloku był jakiś francuski Żyd, nazywali go „Adek", satrapa, który bez pałki nie chodził. Sadysta ten bił za najmniejsze uchybienie według swojego mniemania, bił też kiedy brakowało mu takowych. Cały dzień na bloku to jęk od ciosów zadawanych pałką, za pracę płacił również drągami. Każdy *Häftling* musi być przede wszystkim wygolony i maszynką wystrzyżony. 14 fryzjerom spośród przybyłych z nami dał po 10–20 drągów w pośladki za ogolenie nas. Za wydawanie zupy również bił. Żywienie składa się z wydawanej rano zielonkawej wody. Pięciu ludzi pije z jednej miski, w której znajduje się około litr płynu. Obiad, to zupa z łupin kartofli z otrębami i brukwią. Wieczorem miano dawać 300 g chleba i do tego czasami margarynę, czasami marmoladę. I tu odbywa się wielki rabunek więźniów, chleba dostaje się 200-250 g, margaryny – zamiast należnej porcji 50 g – dostawaliśmy odrobinę lub wcale, resztę zabierali blokowi na tzw. organizację – [sprzedawali jedzenie w zamian] za złoto, pieniądze niemieckie

i dolary. Za pieniądze kupowali od postów, tj. SS-manów, którzy stali jako straż, wódkę. To działo się w każdym bloku, a bloków tych było 18. W niektórych byli Polacy, w innych wówczas Grecy, później Holendrzy itd. Blokowi byli różnej narodowości, wśród nich też Polacy. Wszyscy to więksi lub mniejsi mordercy. Z Polaków najgorsi byli: Franek w bloku 2. i Mietek w bloku 17. Nad całą kwarantanną był *Lageraltester* Tim, Niemiec. To bractwo za te pieniądze piło, hulało po blokach. Po kilku wpadali do bloku – wtedy drągi spadały na ludzi, których sobie wybierali i bili, urządzali „sport" z ludźmi. Cały blok to był jeden jęk. Dochodziło do tego, że ludzie rzucali się na ogrodzenia drutowe, które były naelektryzowane – dobijał ich strzałem, również dla sportu, SS-man pełniący straż na ambonie.

Wstaje się rano o godz. 4.30 na tzw. apel, tj. liczenie. Ustawiono nas w piątki (nauczyli wyrównywać linię), zdjęto z nas buty i tak boso stoi się do 8.00 rano lub dłużej na mokrej ziemi w błocie i czeka [na] wielkiego SS-mana, któremu blokowy raportuje ilość więźniów – zdrowych lub umarłych. Musztra jest szybka, bo [z użyciem] drąga, potem jest herbata i do roboty przy budujących się drogach, gdzie panują mordobicie, kopniaki i drąg. Ludzie nie boją się pracy tylko siepaczy SS-manów i kapo, którzy w myśl kultury niemieckiej na wszystko mają drąg. Po powrocie z pracy, z bloku nie wolno wychodzić, dopiero po wydaniu porcji pozwalają wyjść do ustępów, gdzie tysiące chce się umyć lub załatwić potrzeby fizjologiczne. I tam również panuje kij. Człowiek nie wie, co ma robić, nie wie, gdzie się schować, wszędzie katują, wszędzie czyhają, ażeby z człowieka zrobić ogłupiałe jagnię, które zginie [jak] nie dziś to jutro. Wszyscy tęsknią do lagru, do pracy, bo powiadają, że tam biją tylko za przestępstwa, że tam pracując można jakoś wytrzymać, że tam są niektóre dobre komanda (grupa przydzielona do określonej pracy), że tam mają znajomych, którzy się nimi zaopiekują. Tak czekają niektórzy, część z nich ginie. Jedni z powodu chorób, wycieńczenia, głodu i chłodu chorują i idą do *Krankenbau* (lager chorych) i tam los dalej ich prowadzi. Inni, po czterech lub pięciu tygodniach tej próby wytrzymałości, idą wreszcie do lagru D, do roboty i tam zaczynają swój żywot na nowo.

Ja osobiście dostałem się po paru tygodniach próby wytrzymałości do *Krankenbau*. Jeszcze w kwarantannie będąc zostaliśmy wszyscy lekarze wezwani przed oblicze największego bodaj bandyty – lekarza, Polaka, p. Zentellera [Zenkteler]. Jest to numer stary, coś ponad 20 000. Cóż, my jesteśmy numerami 138–139 tysięcy, szczeniaki, jak nas nazywano: „Sk...syny milionowcy".

Wszyscy na baczność, i pytania, i badanie, czy my jesteśmy lekarzami. „Ty skąd? Z Warszawy? Ty syfilityku, bałwanie ty marynowany! .... Co ty umiesz?" i pyta z medycyny każdego z nas.

Odpowiadamy, jak na pierwszym roku medycyny. Podczas odpowiedzi ośmieliłem się powiedzieć: „Panie kolego" – wówczas stek takich wymyślań padł na mnie, że nigdy w życiu nie zapomnę. „Doktorem tu jestem tylko ja, a wy wszyscy to tylko parszywi milionowcy i nie daj Boże, ażeby który z was chciał inaczej myśleć". Niektórych, jako tzw. durni, wyrzucił, niektórych zatrzymał, między innymi i ja zdałem egzamin. O tym panu opowiem jeszcze wiele, ale zawdzięczam mu życie.

Po kilkunastu dniach mojego pobytu w kwarantannie spuchłem, a głównie spuchły mi nogi, wówczas z litości [Zenkteler] powiedział do jednego ze swoich pomocników: „Weź go na F (tzn. do szpitala), niech tam poleży a potem niech się weźmie do roboty".

Tak dostałem się do szpitala i tak uratowałem się od śmierci w „pierwszej komorze śmierci" lagru A, czyli kwarantannie.

Lager

Nie tak wszystko znowu w lagrze było dobre. Tam nowicjuszom dawano najcięższe roboty. Kapo pędzili do kopania rowów w drewniakach i drelichach. Codziennie rano w takt muzyki komanda maszerowały w asyście kapo z drągami, tak szło po kilkadziesiąt lub w setkach, w asyście kapo, *Vorarbeiterów*, SS-manów i psów. Wieczorem powinno zawsze kilku brakować.

Każdy, kto przetrzymał pierwsze piekło – kwarantannę, został po czterech, pięciu lub sześciu tygodniach przesłany do lagru pracy, tzn. D, i tam zaczynał swój żywot normalnego robotnika. Bloki wyglądały tak samo jak w kwarantannie, prycze, czyli tzw. buksy takie same, tylko tu dostawało się już obuwie, najczęściej drewniane, ale niektórzy dostawali skórzane buciki, ubranie i koce jako pościel. Okradanie dyrekcyjne trochę mniejsze, zupy, herbata czy kawa takie same, margaryna trochę obcięta, kiełbasa również i marmolada, gdy wypadała, dostawało się częściej i trochę więcej. Kwestią najważniejszą było, aby dostać się do dobrego komando i lepszego kapo. Do najlepszych zaliczało się *Bauleitung*, *Zimmerei* (cieśle), *Sammlung* i *Luftwaffenlagerbetrieb*.

Apele rano o godz. 4.30, o 5.00 trzeba już było być gotowym do pracy. Wszystkie komanda ustawiają się i przy (o ironio!) muzyce dętej, wychodzą do roboty. Jedni do budowy dróg, inni do kopania rowów, inni do budowania baraków, jeszcze inni jako malarze. Na tych robotach różnie

bywało. Idzie komando, prowadzi je kapo – *Häftling*, [eskortowani] są przez SS-manów z dużymi psami. Idą w oznaczone miejsce pracy. Nie robi różnicy, czy jest zimno, czy ciepło, czy sucho, czy pada najulewniejszy deszcz lub śnieg, komando musi iść do swej roboty. Przy robocie popędzają kapo i *Vorarbeiterzy*, a ich popędzają SS-mani z pejczami, mając do pomocy innych SS-manów i psy. Za najmniejszą niedokładność lub niewydolność pracy dostaje się cięgi, z których wychodzi się żywym, pobitym lub jako nieboszczyk. Nikogo nie dziwi, że komando wraca i wiezie ze sobą kilka lub kilkanaście trupów. Najbardziej nie wytrzymują lagru inteligenci, którzy nie umieją ani łopatą, ani kilofem pracować. Ci giną jak muchy. Ci, którzy chodzą w komando jako prości robotnicy, nie mają prawa żyć w lagrze dłużej niż kilka tygodni, ci wykańczają się, nawet nie wiadomo kiedy. Nikt się tym nie oburza, nikt nie płacze, czasem ktoś ubolewa, ale to rzadkość. [Śmierć] to tak normalna rzecz, że nikogo nie obchodzi. Wytwarza się straszna samozachowawczość, nikt nikomu nie może w niczym pomóc, bo do SS-mana nikt nie ma dostępu, nikt nie może go o nic prosić, nikt nie śmie się do niego zbliżyć, każdy zdejmuje przed nim czapkę na długo przed spotkaniem z nim i długo potem. SS-mana, gdy nadchodzi w polu, w miejscu pracy lub w bloku, każdy się boi, tylko blokowy czy też w *Krankenbau* lekarz naczelny staje na baczność zdenerwowany i woła *Achtung Block!* numer taki a taki i podaje im liczbę ludzi.

Boi się go każdy blokowy, kapo, czy też lekarz, bardziej niż jego podwładni, bo on jest „panem życia i śmierci". Ogląda roboty, ogląda blok, jeżeli coś najmniejszego nie spodoba mu się, bije w mordę [ręką] lub narzędziem jakie [przy sobie] posiada.

Obóz w Brzezince składał się z ośmiu części. Lager A to kwarantanna, [B] to obóz familijny (*Familienlager*), obóz C – czeski, D to obóz pracy męski, E to obóz cyganów, obóz F to *Krankenbau*, czyli szpital, dalej obóz *Effektenkammer* i ósmy to krematorium. Który z tych obozów jest najlżejszym trudno powiedzieć, bo w każdym obozie jednakowo są więźniowie i jednakowo cierpią, jednakowo SS-mani biją. Każdy z tych obozów miał bloki, których się każdy bał i robił wszystko, żeby tam nie trafić.

W lagrze D najstraszniejszy był blok SK – *Strafkommando*. Do tego bloku można było dostać się za najmniejsze przewinienie w którymkolwiek z obozów. Można było się też dostać z powodu nawet fałszywych oskarżeń. Kara była na określony czas tzn. na kilka miesięcy lub parę lat, a nawet *dauernd SK*, czyli stałe SK. Każdy, kto tam wchodził pierwszy raz, dostawał 25 drągów na przywitanie. Bito na koźle specjalnie do tego zrobionym lub też na pryczy. Jak zwykle przy razach, były dwa lub trzy uderzenia po kręgosłupie. Blokowymi w SK w większej

części byli Niemcy, a ostatnio blokowym był Bednarek – Polak. Na ogół ktokolwiek szedł do SK, uważaliśmy go za straconego, bo albo ginął przy bardzo ciężkiej pracy z braku sił, albo wyjeżdżał z transportem karnym, który szedł najczęściej do kamieniołomów i tam większość kończyła swój żywot.

Drugą straszną częścią lagru były krematoria, gdzie więźniowie, czyli *Häftlindzy*, nazywani *Sonderkommando*, wykonywali czynności przy gazowaniu i paleniu ludzi. Według przepisów lagru krematoryjnego, człowiek pracujący w *Sonderkommandzie* nie miał prawa wyjść stamtąd żywym. Po kilku miesiącach pracy palono pracowników *Sonderkommanda* i brano nowych. Pracowali tam przeważnie Żydzi.

W lagrze ludzie bali się bardzo *Krankenbau*. Bali się, mając za sobą przeszłość ze starego *Krankenbau*, który trudno było nazwać szpitalem, bo był to blok 7., w którym wszystkim gorączkującym lub też wyczerpanym dawano zastrzyki fenolu, bez różnicy [ze względu na] narodowość. Wstrzykiwano fenol tak samo Żydom, jak i aryjczykom.

Krankenbau F powstał dopiero pod koniec lipca 1943 r., na polach błotnych z wytyczonymi jedynie ulicami między blokami. W pierwszych dniach września przyszedłem do *Krankenbau* jako chory, na oddział chorób wewnętrznych nr 5. Spuchnięty leżałem w łóżku przez kilka dni i wziąłem się do pracy, jako fizyczny pracownik bloku. *Krankenbau* składał się wówczas z 16 bloków. Blok pierwszy podzielony był na dwie części. Pierwsza część to kancelaria, czyli *Schreibstuba*, w której pracowali Polacy: Ordower z Krakowa, jako główny kierownik, a drugi *Rapportschreiber* Zygmunt Horoszy, Polak z Rzeszowa. Horoszy został przywieziony do Oświęcimia z pierwszym transportem Polaków z Tarnowa. Miał on numer, o ile się nie mylę, 134. Obaj ci *Schreiberzy* bardzo dużo dobrego zrobili dla więźniów, obaj zachowali się tak godnie, że można powiedzieć, że zasłużyli się w obozie. Wielu Polaków i bardzo dużo Żydów zawdzięcza im, że żyją lub też, że nieraz uniknęli kary.

Część pierwszej połowy bloku 1. zajmował *Lagerarzt*, najważniejszy dygnitarz lagru F, a przy nim jeden lub dwu SDG (*Sanitätsdienstgehilfe*). Niemcy [sanitariusze] SS (SDG) przychodzili wcześnie rano, obchodzili bloki, wydawali rozporządzenia, wymyślali, bili, jeśli cokolwiek im się nie podobało. *Lagerarzt* przychodził nieco później, załatwiał urzędowe sprawy, a później obchodził bloki.

Druga część bloku 1. to apteka, w której pracował aptekarz o nazwisku Gottlieb, pochodzący z Francji, ale urodzony się w Polsce, władał bardzo dobrze językiem polskim. Był trochę

dziwakiem, ale nie należy się mu dziwić, bo lekarstw miał niewiele, a każdy lekarz chciał jak najwięcej dla swego bloku dostać. Był czas, kiedy mieliśmy dość dużo aspiryny i schmerztabletek [*Schmerztabletten* – tabletki przeciwbólowe], wtedy na wszystkie choroby dozowało się aspirynę lub schmerztabletki. Innym razem było więcej piramidonu – dawało się piramidon. Czasem dostał Gottlieb *folie digitalis* – wtedy pacjenci dostawali *dygitalis*. Ponieważ nigdy nie było za dużo lekarstw, dawało się po łyżeczce, żeby zdawało się pacjentowi, iż mu się pomaga – dawało się też wszystkim, i prawie wszystko. Czasami bywało z lekarstwami nawet nieźle, ale to wtedy, kiedy przychodziły wielkie *Zugangi* do 5 czy 10 tys. dziennie, i dużo lekarstw dostawało się różnymi drogami legalnymi i nielegalnymi do apteki. Wtedy dysponowaliśmy różnymi lekarstwami: francuskimi, holenderskimi, węgierskimi, włoskimi, a nawet polskimi. Każdy lekarz czuł się wtedy zadowolony. Nawet nerwowy Gottlieb stawał się spokojniejszy, bardziej zadowolony, bo mógł dać lekarstwa i każdy z lekarzy w dowód wdzięczności częstował go papierosami, a jeśli miał paczkę, przynosił mu kawałek słoniny lub tłuszczu. Trzeba jednak przyznać, iż nie można było przekupić Gottlieba. Bandaże były w aptece tylko papierowe, często za mało i lignina, której także było niewiele. Gaza i bandaże płócienne pojawiły się dopiero przy masowych *Zugangach* (transporty).

Obok apteki był mały pokoik, laboratorium, w którym pracowali laboranci-Polacy. Na czele laboratorium stał jeden z najstarszych więźniów w Oświęcimiu, Zygmunt, którego nazwiska nie pamiętam, a drugim był Zasadzki. Obaj laboranci pracowali bardzo sprawnie i wiele pomogli naszej lagrowej medycynie. Obok pokoiku-laboratorium, był pokoik dla *Lagerältestera*, tj. więźnia, który reprezentował wszystkich więźniów wobec *Lagerarzta*. W czasie mego przybycia do *Krakenbau*, w pierwszych dniach mojego pobytu tam, *Lagerältestem* był Niemiec – komunista Hans, który miał strasznie srogą minę ale nie był szkodliwy. Po nim był bardzo inteligentny Niemiec – Schuster, który wciąż urządzał apele, ale nigdy nie słyszeliśmy, żeby kogoś pobił lub też oskarżył przed *Lagerarztem* lub Oddziałem Politycznym. Później objął funkcję *Lagerälestera* wspomniany już poprzednio i znany nam z kwarantanny dr Zenkteler, lekarz z poznańskiego.

Był to człowiek o dziwnym charakterze. Zawsze był zły, zawsze wymyślał, nigdy nie był zadowolony, nienawidził ludzi, stary kawaler ok. 60 lat, dobrze zbudowany, silny, każdy się go bał, jego uderzenie pięścią było tak mocne, że trudno było się na nogach utrzymać. Czasami posługiwał się pałką, którą bił, gdzie popadło, sam twierdził, że nie cierpi ludzi, że najchętniej przebywa w lesie nie goląc się i nie myjąc. I istotnie nikt z nas nigdy nie widział, ażeby się

kiedykolwiek kąpał. [Zachowywał] się strasznie służalczo w stosunku do *Lagerarzta* i do SS-manów. Był postrachem nie tylko lekarzy, *Pflegerów*, ale i chorych. Nadzwyczaj pracowity i ruchliwy, o najwcześniejszych godzinach wpadał do bloków, kontrolował, czy wszyscy wstali, wpadał w nocy, aby przekonać się, czy wszystko jest zgodnie z przepisami. Zawsze coś znalazł, z czego był niezadowolony, zawsze kogoś zwymyślał lub pobił. Bano się go bardziej, aniżeli *Lagerarzta* lub też SS-manów. My lekarze najbardziej się go baliśmy, a jego sposób krzyczenia na sali chorych, zabijał wszelki autorytet, jaki mieliśmy wśród chorych, a który w bloku jest tak konieczny.

Blok 2., został utworzony w październiku 1943 r. wpierw jako oddział ambulatoryjno-chirurgiczny męski, a później z części bloku zrobiono salę operacyjną, bardzo prymitywną i z bardzo prymitywnymi urządzeniami. Druga część służyła jako sala pooperacyjna. Naczelnym lekarzem był wówczas Helmersohn [Helmersen], młody, nie liczący więcej niż 28 lat mężczyzna, syn komisarza policji w Berlinie, bardzo podejrzliwy, polakożerca, który wyraźnie akcentował swoją wrogość do Polaków. Operował niewiele, bo bardzo mało umiał, a głównym chirurgiem spośród więźniów-lekarzy był dr Hermann, młody, ale zdolny chirurg z Warszawy. Po raz pierwszy zaczęto operować wtedy wyrostki robaczkowe, rupturę, a nawet zrobiono gastroenterostomię [zespolenie żołądkowo-jelitowe]. Helmersen chodził codziennie po blokach, przeglądał tablice chorych, wymyślał lekarzom, że nic nie umieją, najchętniej robił selekcje i widać było z jakim zadowoleniem wskazywał ludzi, którzy mieli iść do komina. A miał ich bardzo dużo. Cały lager roił się w sierpniu od Francuzów, którzy pracowali budując ulicę na F. Wszystkie bloki były przepełnione francuskimi Żydami. Po kilku dniach odbyła się selekcja w *Krankenbau* i lagrze D, zniknęli Francuzi wytruci gazem i spaleni w krematorium. Po kilku dniach przyszła nowa fala kilku czy też kilkunastu tysięcy więźniów, którzy zapełnili ulice lagru F, jak też wszystkie bloki szpitalne.

Pociąg za pociągiem przywoził więźniów. Byli to greccy Żydzi. Jak wielu przyjechało, tego określić nie jestem w stanie, w każdym razie było ich kilkadziesiąt tysięcy. Zaroiło się w kwarantannie, w lagrze D i jak wspomniałem w *Krankenbau*, czyli lagrze szpitalnym. Brunatni, ruchliwi, gadatliwi, wszędzie ich było pełno i wszędzie Grecy. Spotkałem się z nimi wpierw budującymi ulice lagrowe, kopiącymi rowy i kanały. Narzędziami pracy operowali bardzo niezgrabnie i z początku traktowali pracę dość wesoło, po kilku dniach jednak widać było wyraźne oznaki osłabienia i przestrachu. Bać się mieli czego, bo co kilkadziesiąt ludzi stali kapo, którzy dość dowolnie popędzali ich do pracy drągiem. Widać, że ludzie ci nie byli

przyzwyczajeni do pracy fizycznej, bo na twarzach było widać straszne zmęczenie, ręce mieli spuchnięte i pełne pęcherzy, nogi ledwie wlekli za sobą, ustawali w pracy, to też kapo mieli używanie. W tydzień później zapełniły się bloki szpitalne chorymi Grekami. Spodziewali się oni, że szpital jest czymś podobnym jak na wolności, ale gdy dano im to twarde łoże w zagęszczonej budzie zwanej blokiem szpitalnym, upadli na duchu. Robić im tu nie kazano. Pożywienie szpitalne nie było gorsze od lagrowego, ale też nie było lepsze. Była ta sama zupa z łup kartoflanych i brukwi, ta sama woda zielona nazywająca się herbatą i ta sama czarna woda zwana kawą. Różnica była tylko w tym, że potraw tych było mniej aniżeli w lagrze. To też, cały blok po kilku dniach był wrogo do Greków nastawiony, bo strasznie kradli. Nie można było nigdzie chleba schować, aby Grek nie znalazł. Najbardziej wymyślne sposoby schowania w łóżku, pod łóżkiem, nad łóżkiem, obstawieniem strażą nocną (*Nachtwache*) nic nie pomogło, bo zawsze rano kilku czy kilkunastu chorym brakowało chleba lub też innych produktów spożywczych, które otrzymywaliśmy z domu. W bloku 5. było ich ok. 40, to też kradzież była na bardzo wysoką skalę. Blokowi szukając skradzionego chleba przeszukiwali rano wszystkie łóżka Greków, nigdzie jednak niczego znaleźć nie mogli. Niektórym ginęły całe dziesięciokilogramowe paczki. Były wypadki, że znalazł się nawet ten, kto ukradł, bo poznać było można po tym, że rano wymiotował, miał kolosalne wzdęcia brzucha i wciąż biegał do ustępu. Były to [symptomy] obżarcia się po głodówce. W całym lagrze *Krankenbau* (szpitalnym) stosunki między chorymi, jak i ludźmi pracującymi stały się wrogie, nie z powodu narodowości, ale z powodu kradzieży. Bicie, które blokowi lub *Pflegerzy* stosowali wobec tych, których złapano na kradzieży nie pomagało. A trzeba powiedzieć, że największym przestępstwem w obozie była kradzież, zwłaszcza chleba. Jeżeli ktoś bił za ukradziony chleb lub nawet zabił, uważano to ogólnie za słuszne i do zabójcy nikt pretensji nie miał.

Którykolwiek z Greków nieco zdrowszy wychodził na ulicę lub koło bloku grzebał w pakach-śmietnikach, do których wyrzucano odpadki, bandaże, szmaty zaropiałe, zagnojone, wyrzucone śmiecie z bloków różnych chorób. Tam Grek dłubał, wyszukiwał i zjadał wszystko to, co tylko znalazł do zjedzenia. Chodzili po ogrodzie i jedli surowe buraki, surową brukiew, surowa kapustę, a nawet wszystkie chwasty, jakie gdziekolwiek rosły. Nikt z nas nie mógł zrozumieć, a ja i do dziś nie rozumiem, dlaczego oni tak byli żarłoczni i nie wytrzymali na głód. Każdy z nas dostawał te same porcje, a jednak mało było takich, którzy by za jedzeniem tak się ubiegali jak Grecy. Przy tym ginęli jak muchy. Długo w obozie nie byli. W kilka tygodni po przybyciu *Lagerarzt* Helmersen zrobił selekcję w całym obozie i przez dwa

dni buchały kominy czarnym dymem z małą ilością płomienia. Mówię „czarnym płomieniem", bo gdy palono ludzi wynędzniałych, „muzułmanów", to unosił się dym, a płomienie buchały tylko wtedy, gdy palono tłustych.

Wracając do opisu bloków, blok 2. był nie tylko blokiem dużej chirurgii, ale również blokiem [przeznaczonym] do celów eksperymentalnych. Niektóre eksperymenty nie miały tego celu, a raczej cel morderczy. I tak sprowadzano codziennie ludzi, którym pobierano po od pięciu do dziesięciu centymetrów [sześciennych] krwi. Innym razem sprowadzano kobiety ciężarne od szóstego miesiąca ciąży w górę i robiono wszystkim pochwowe cesarskie cięcie. Niemowlęta wybierano zawsze żywe i wrzucano do wielkiego kubła, w którym dzieciaki sześcio-, siedmio-, ośmio-, a nawet dziewięciomiesięczne krzyczały i jęczały, aż umierały. Przykro było na to patrzeć, a jednak rozkaz rozkazem, musieliśmy to robić, bo rozkaz musiał być wykonany i dawało to kobiecie możliwość uratowania. Kobieta w ciąży lub też z dzieckiem to śmierć nieunikniona. Zdaje mi się, że nawet pewna ilość kobiet wyszła na wolność. Na bloku tym robiono wiele laparotomii (otwarć jamy brzusznej), których wykonanie nie miało żadnego uzasadnienia. Helmersen pewnego dnia zniknął, a na jego miejsce przyszedł *Obersturmführer* Tillo [Thilo].

Doktor Mengele, *Hauptsturmführer*, sprowadził kilkadziesiąt zdrowych dzieci do naszego szpitala tzw. *Zwillingów*, czyli bliźniaków, i rozpoczął eksperymentowanie dotyczące różniczkowania krwi. Co z tych badań krwi wynikło, tego zdaje się nikt z lekarzy nie wie. Wiemy tylko jedno, że co kilka dni pobierano od pięciu do dziesięciu centymetrów [sześciennych] krwi dzieciakowi, odsyłano do laboratorium, a dzieciak przy niedostatecznym odżywianiu i poborze krwi zapadał na anemię. Dużo z tych dzieci umarło, kilkoro wyszło na wolność.

W bloku 3. i 4. robiono drobne [zabiegi] chirurgiczne. Przychodzili tam pacjenci z wrzodami, ranami, czyrakami a najczęściej z flegmoną. Operowano wszystkich na żywo, robiono nieraz po osiem – dziesięć cięć na jednej kończynie, ropa lała się całą strugą, pacjenci darli się na całe gardło. Tak cięto wszystkie inne ropienia, których najwięcej było na pośladkach z powodu zropienia wylewów krwi po biciu drągiem. Przeprowadzano te operacje narzędziami niewysterylizowanymi, kilka kropel sagrotanu w misce wody i narzędzia umaczane w tym roztworze starczały za całą sterylizację. Dziwne się wydaje, a z punktu widzenia lekarskiego dotychczas nawet niezrozumiałe, dlaczego te rany prawie nigdy nie dawały zakażeń. Z chwilą, gdy się rany podgoiły, przychodził *Lagerarzt* i wypędzał ludzi do

lagru do ciężkiej pracy, tylko po to chyba, żeby człowiek po kilku dniach z powrotem wracał do szpitala. I tak wkoło, dopóki swego żywota nie zakończył.

Blok 5. Jak już wspomniałem, w kwarantannie zachorowałem na puchlinę nóg i osłabienie mięśnia sercowego, wobec czego dr Zenkteler skierował mnie do szpitala z zastrzeżeniem, że mam poleżeć, a później wziąć się do pracy. Leżałem kilka dni, obrzmienie nóg przeszło, poczułem się lepiej, wstałem i wziąłem się do pracy. Nawet marzyć nie mogłem o tym, żeby mi pozwolono pracować zawodowo. Zacząłem od mycia podłóg i rano, jeszcze nim gong ogłosił pobudkę o godz. 4.30, ja już nosiłem kubły wody, a później szorowałem szczotką czarną podłogę, dopóki nie zbielała. Drugi *Pfleger* szmatą ściągał brudną wodę, inny jeszcze wylewał i spłukiwał szmaty, i tak robota szła raźno, dopóki cała podłoga nie została wymyta. Potem myliśmy łóżka, stołki i naczynia sanitarne. Później myłem garnki w kubłach, tych samych, w których się rano myło podłogę, a w południe miski po zupie. Wieczorem na nowo garnki. Z początku wydawała mi się ta robota trudna, później jednak doszedłem do takiej wprawy, że pobijałem rekordy wszystkich współpracowników, a nawet pana blokowego, który nas uczył, jak [wszystko] się robi. Pozwalałem sobie nawet blokowemu powiedzieć, że „człowiek z uniwersyteckim wykształceniem nawet podłogę lepiej myje od takiego, który tego wykształcenia nie posiada". Przyznam się, że najmniej chętnie myłem miski, bo zupa była obrzydliwa nie tylko w spożyciu, ale gdy zaschła stawała się wstrętną jakąś mazią, a jeszcze gorzej, że tak kleistą, iż trudno było w zimnej wodzie obmyć.

Zaczęły przychodzić do mnie paczki. Dostałem pierwszą wiadomość z domu. Jakkolwiek nigdy nie czułem się przygnębiony, to po otrzymaniu paczki stałem się o wiele żywszy, zacząłem częstować pana blokowego, *Stubendienstów*, *Leitenderarzta* swoimi smakołykami. Pozwolono mi poza myciem podłóg mierzyć temperaturę chorym. Wykonywałem to z wielkim namaszczeniem, jakkolwiek byłem już lekarzem 30 lat, to jednak, gdy dostałem termometr do ręki, cieszyłem się, jak gdybym dopiero dostał dyplom i pierwszą posadę w jakimś szpitaliku.

Leitenderarztem był lekarz z Berlina dr Cohen, Żyd, który w wojnie poprzedniej był oficerem armii niemieckiej. Wciąż narzekał, za co go wzięli, przecież on jest bardzo lojalny, służył Niemcom, zawsze płacił podatki i właściwie powinien być i dziś na froncie oficerem w armii niemieckiej. Był stuprocentowym Niemcem, posiadał wszystkie ich wady i również wszystkie wady, jakie można znaleźć u Żyda. Lekarzem był zdolnym, bardzo skrupulatnym w opisywaniu każdego chorego. Opisu chorego chyba nigdzie tak dokładnie w żadnej

z najlepszych klinik nie dokonywano, jak on to robił sam i wymagał od swoich podwładnych lekarzy. Krzywe temperatury i analizy były tak skrupulatnie prowadzone, że mogą służyć za przykład dla najlepszej instytucji. Ale nikogo nie leczył. Na leczeniu chorób właściwie się nie znał. Opis chorego zupełnie mu wystarczał, bo tego żądał *Lagerarzt*. Dlaczego tak skrupulatnie to robił, dowiedziałem się od niego później – był on lekarzem kolejowym w okręgu berlińskim. Człowiek, który miał grypę, miał opisane każde najmniejsze znamię na swoim ciele, każdą smugę po uderzeniu lub przecięciu, żaden cień uszkodzonego naskórka nie uszedł jego uwadze. Był Żydem, paczek nie dostawał. Zacząłem go trochę podkarmiać jako podległy mu lekarz, tak jak podkarmiałem blokowego i zacząłem się brać do leczenia chorych. Siłą rzeczy stałem się niejako lekarzem terapii – przynosiłem aspirynę, schmerztabletki. Te ostatnie cieszyły się największym uznaniem chorych, bo mniej lub bardziej pomagały choremu na wszystkie jego dolegliwości. Bóle głowy – schmerztabletki, *pleuritis* – schmerztabletki, *ischias*, reumatyzm, bóle pęcherza, brzuszne, gdziekolwiek się ból pokazał – schmerztabletka była środkiem, który mniej czy więcej uspakajał cierpienia. Były okresy, w których przychodziły do apteki lekarstwa bardziej rozmaite i wtedy można było stosować nieraz *pulmochinę*, *camphochinę*, czasem kamforę, a nawet od czasu do czasu można było wydębić sulfmidy w bardzo dobrym gatunku, [takim] jak oleodron. Tak prowadzony blok stał się blokiem chorób wewnętrznych najbardziej wzorcowym w lagrze F. Ja byłem zadowolony, że mogłem ludziom co nieco pomóc, a Cohen był dumny, że właśnie jego blok uważany jest za najlepszy. Urwało się to wszystko po paru tygodniach, kiedy Thilo zauważył w naszych kartach chorób, że używamy dużo lekarstw, zwymyślał Cohena, a potem jeszcze bardziej mnie, że używam niepotrzebnie lekarstw, że na froncie dla żołnierzy brakuje, a ja sobie pozwalam na szafowanie lekarstwami bez potrzeby. Nakazał nam, żeby leczyć zapalenie płuc tylko szmatami umaczanymi w zimnej wodzie dwa razy dziennie – rano i wieczorem. Powiedzieliśmy obaj *jawohl*, i ani ja, ani dr Cohen do tego się nie dostosowaliśmy. Pisałem tylko na listach chorych „owijka zimny rano i wieczorem". Po kilku dniach Thilo sprawdził, czy dostosowaliśmy się do nakazanych przez niego metod, przeczytał kilka tablic chorych i powiedział: „Gut".

W bloku 6. leczono również choroby wewnętrzne o charakterze raczej lżejszym.

Blok 7. był blokiem chorób specjalnych. Wybierano choroby rzadsze, raczej chroniczne. Z każdego bloku wybierano ludzi, którzy cierpieli na choroby nieuleczalne albo prawie nieuleczalne. Rak, *noma* [rak wodny] miały pierwszeństwo. Potem szły choroby ucisku

mózgowego, *spondilitis*, chroniczne choroby nerek, niedorozwój i chroniczny *arhtritis* (artretyzm). Blok ten miał specjalne łóżka rzadziej rozstawione, o żywność dietetyczną było w tym bloku łatwiej, dawano czasem mleko, często biały chleb i lekarstwa w dość pokaźnej ilości. Blok ten egzystował kilka miesięcy, potem wszystkich Żydów spalono, resztę rozrzucono po innych blokach i wydaje mi się, że wszyscy umarli. Czy się z tego *Lagerarzt* czegoś nauczył, tego nie wiemy, w każdym razie chlubił się, że tylko Niemcy potrafią stać na tak wysokim poziomie naukowym i humanitarnym. Później z tego bloku zrobiono szpital dla więźniów-Niemców i wtedy był on naprawdę uprzywilejowany, bo karmiono nieporównanie lepiej – dawano zupę dowolnie, dwa lub trzy razy tygodniowo tzw. *Zulage*, czyli dożywianie w postaci jednej trzeciej, a nawet połowy bochenka chleba i do tego dwa – cztery centymetry grubej kiełbasy. Byli oni panami między chorymi, bali się ich wszyscy chorzy i rekonwalescenci z innych bloków, a nawet blokowi czy lekarze innych narodowości woleli ich unikać, ponieważ byli z *Lagerarztem* w dobrych stosunkach, mogli kogokolwiek oskarżyć, nazwać anty-Niemcem i to wystarczyło, aby *Lagerarzt* wysłał danego osobnika do bunkra lub do kopalni węgla. Niektórzy z nich udawali, że są przyjaciółmi, chcieli nawet nawiązać przyjacielskie stosunki z Polakami lub też innymi, ale każdy, kto się do nich zbliżał, musiał za to zapłacić.

Kiedy dr Zenkteler zaproponował mi objęcie bloku nr 7 jako lekarz naczelny, odpowiedziałem, że pójdę raczej na lager do ciężkich robót, a nawet do kopalni węgla, a do tego bloku nie pójdę. Lekarzem był tam dr Łaba z Przemyśla, który mimo dużego spokoju nieraz był tak zdenerwowany, że nie mógł pracować, Kilkakrotnie groziło mu niebezpieczeństwo, ponieważ Niemcy zachowywali się prowokacyjnie, a lekarza uważali za swego służącego.

Blok 8., który objąłem jako lekarz naczelny, był blokiem infekcyjnym ZB (*Zu Beobachten* – obserwacyjny). W bloku leżało ok. 400 pacjentów i pracował w nim jeden jedyny lekarz, Żyd, Goldberg, który siłą rzeczy nie mógł podołać pracy, jaką trzeba było tam włożyć. Wszyscy pacjenci byli bardzo ciężko chorzy na różne choroby. Zenkteler oskarżył tego lekarza przed *Lagerarztem* o niedbalstwo i nieróbstwo, przez co [Goldberg] został wyrzucony do *Kohlengrubau*, czyli ciężkich robót w kopalni węgla. Co się z nim dalej stało, nie wiem. Przyszedłszy do tego bloku musiałem wszystko rozpocząć od nowa. Pacjenci leżeli bez diagnozy, a przez samo to nie byli leczeni. Dobrałem sobie dwóch lekarzy spośród chorych w bloku i rozpocząłem pracę. Miałem po kilku dniach połowę bloku już dokładnie opisaną, dalszą część w opracowaniu. Do bloku codziennie przychodził Zenkteler, który stale wymyślał, że za mało jest zrobione, próbował się przyczepić do diagnozy w niejednym

przypadku, z tego powodu mieliśmy wciąż scysje, z których jednak wychodziłem jako wygrany. Widać było, że szuka czegoś, aby mnie można było zmaltretować. Nie mogąc znaleźć żadnej podstawy, użył sobie na mnie pięściami przy okazji, gdy badał chorego. Wkładałem wówczas papiery chorego w ramki krzywych temperatury. Rzucił się na mnie, zaczął walić pięściami i kilkakrotnie swoim zwyczajem uderzył mnie w żołądek pod żebrami. Zmierzyłem go ostro [wzrokiem], zobaczyłem, że takiemu bykowi nie dam rady, nie oddałem mu, jednak mój wzrok przeszył go do głębi i na moje ostre pytanie, dlaczego mnie pobił, odpowiedział: „Ty idioto, szeleścisz papierami, kiedy ja badam chorego". Wieść o tym pobiciu obiegła cały lager. Wiem, że od swoich znajomków miał nawet z tego powodu nieprzyjemności. Nigdy mnie więcej później nie uderzył, ale bardzo często wymyślał mi od „za mądrych", od „spryciarzy" dawał mi do zrozumienia, że muszę być głupszy od niego i że lekarzem jest tylko on i nikt więcej z nas w całym lagrze. Traktowałem go jak każdego SS-mana i ustosunkowałem się do niego jak do każdego SS-mana, bo w postępowaniu niczym się od nich nie różnił, a był o tyle gorszy, że znał wszystkich ludzi, znał języki niemiecki i polski, i ze wszystkim chodził do *Lagerarzta* na skargę. *Lagerarzt* widząc w nim najwierniejszego swojego służalca, pozwalał mu na wszystko i wszystkie jego wnioski akceptował, a kary wprowadzał w czyn.

Po pobiciu mnie przez Zenktellera stałem się w stosunku do niego bardziej agresywny, zażądałem od niego jeszcze więcej lekarzy. Wkrótce było nas siedmiu w jednym bloku.

Kilka szkarlatyn, kilka dyfterytów, kilkanaście różyczek, kilka *otitis media*, kilka plamistych tyfusów i kilkadziesiąt wypadków, podejrzanych o gruźlicę płuc. Szczegółowe analizy plwociny wykazały zaraz przy pierwszym badaniu 26 przypadków „Koch pozytywny". To było pierwsze badanie w kierunku gruźlicy w naszym *Krakenbau*. Badania dalsze wykazywały wciąż nowe wypadki gruźlicy. Zwróciłem uwagę na to *Lagerarztowi*, wówczas już Zenktelera nie było, objął stanowisko kierownika ambulansu w lagrze D i kwarantanny. Rozpoczęto badanie plwociny w innych blokach i okazało się z miejsca, że prątkujących było ok. 80 osób. Na polecenie *Lagerarzta*, czy kogoś obejmującego jeszcze wyższe stanowisko, rozpoczęto budowę specjalnego bloku dla gruźlików, bloku 17. Do tego czasu wszyscy gruźlicy leżeli w swoich blokach, tak samo u mnie w 8., w którym liczba prątkujących wzrosła do 47. Poza tym do mojego bloku przychodzili wciąż pacjenci z różnymi chorobami zakaźnymi, głównie z różyczką, która wówczas rozprzestrzeniła się w całym naszym obozie.

Rezultaty kuracji różyczki zależne były od środków, lekarstw, jakie mogłem zdobyć. Przez jakiś czas otrzymywałem maść ichtiolową, którą smarowałem na czarno pacjentów, a gdy tej brakowało, używałem *bolus alba*. Używaliśmy tego na *Durchfall*, a także do malowania ścian bloku i łóżek. Jest to substancja glinkowa i pacjenci chodzili w białych maskach. Prontosilu i sulfamidów w aptece było bardzo niewiele, to też sulfamidami leczyłem tylko bardzo ciężko chorych. Potem przyszedł transport. Udało mi się za żywność, za biały chleb, którego nie dawało się ciężko chorym i nieprzytomnym (i zamiast dać takowy pracownikom bloku), kupić od *Sonderkommanda* prontosil i oleodron. Rozpocząłem leczenie, rezultaty były z miejsca bardzo pozytywne. Pacjenci dochodzili do zdrowia, aż nastąpił któryś czwarty, kiedy kazano przygotować wszystkich pacjentów do przeglądu. Popołudniu nastąpiło *alle Juden antreten*. Miałem ich 38, przynajmniej połowa z nich zupełnie zdrowych, kilkunastu o herkulesowej budowie. Przyszedł *Lagerarzt* Thilo i tym razem zrobił totalną selekcję, tzn. zabrał do komina 36, zostało na bloku tylko dwóch – jeden lekarz-Żyd, umierający, a drugi fryzjer, o którego bardzo prosiłem, że jest mi koniecznie na bloku potrzebny. Przekazałem mu w łóżkach jeszcze dwóch lekarzy, licząc na to, że ich zwolni, ale na to jak zwykle odpowiedział basowym tonem takim, że można było zrozumieć, iż nic z tego nie będzie: „Ja, ja". Była to pierwsza selekcja, w której zabierano z wszystkich bloków prawie wszystkich Żydów i pierwszy przypadek selekcji, w którym nie można było nikogo schować, bo za *Lagerarzte*m chodziło kilku SS-manów i paru urzędników cywilnych, którzy mieli spisy wszystkich Żydów z każdego bloku. Spalono wszystkich.

Blok 9. był blokiem tyfusowym, tak samo jak i bloki 10. i 11. W *Krankenbau* szalał wówczas tyfus, trzysta kilkadziesiąt ludzi było chorych. Przysłano wówczas do walki z tyfusem p. Zenktelera, który istotnie zniszczył tyfus w całym lagrze. Metoda jego polegała na tym, że wszyscy pacjenci z bloku, *Pflegerzy* i lekarze rozbierali się do naga, bieliznę, koce, wszystko z bloku oddawano do dezynfekcji, pozostały tylko łóżka i materace. Z całego bloku szliśmy pieszo i nago w czasie mrozu kilkunastostopniowego (było to w styczniu) do kąpieli. Tam golono, strzyżono na całym ciele. Potem kąpiel, a później opryskiwanie jakimś płynem, zdaje się, że naftą mieszaną z jakimś środkiem dezynfekcyjnym. Blok przez ten cały czas był gazowany cyklonem, czy czymś innym podobnym (*Entlausungsaktion*). Czekaliśmy w *Waschraumie* przez kilka godzin. Przez ten czas wielu umarło, ponieważ niektórzy byli w bardzo ciężkim stanie. Później otwierano blok i po kilku godzinach przychodziły nasze zdezynfekowane rzeczy, pościel. Ani wszy, pcheł, ani innych owadów nie było, a nawet

szczury i myszy grasowały nie tak licznie. *Entlausungsaktion* w moim bloku kosztowała [życie] ok. 20 [ludzi]. Każdy blok miał kolosalną śmiertelność. Kosztem kilkuset ludzi Zenkteler opanował tyfus i później, już do końca wojny w naszym lagrze zdarzały się tylko sporadyczne przypadki zachorowania na tyfus.

Blok 12. był blokiem dla Żydów tzw. nieuleczalnie chorych. Normalnie mieściło się tam ok. 500 osób, a przy selekcjach spędzano do tego bloku jeszcze kilkaset osób, [tak] że nieraz liczba sięgała 1200. Palenie odbywało się w wieczór szabasowy lub też w wielkie święta żydowskie. Największe palenie było jednak w sądny dzień.

Bloki 13., 14. i 15. były w różnych okresach [przydzielone do] różnych chorób. Tam znajdowała się też kantyna, w której czasami można było kupić musztardę, czasem jakąś obrzydliwą wodę mineralną, której nikt pić nie chciał, czasami ślimaki na wpół zgniłe, od [zjedzenia] których można było tylko zachorować. Zawsze było można kupić papier toaletowy i proszek do zębów.

W lutym polecono zebrać mi ze szpitala chorych na płuca i przenieść się do bloku 17. Zebrałem przeszło stu najciężej chorych ze swojego i z różnych innych bloków. W kilka dni potem blok 10. i 11., które były uprzednio blokami tyfusowymi zamieniono w bloki gruźlicze. I tak w naszych trzech blokach było do 400 chorych. Pacjentów dzielono na gruźlicę otwartą i gruźlicę kliniczną. Śmiertelność w tych blokach była bardzo duża. Z każdego z naszych bloków wynoszono po pięć – dziesięć trupów dziennie. Wciąż przychodzili nowi, miejsca było raczej mało. Na polecenie *Lagerarzta* robiliśmy co tydzień badanie plwociny i pobieraliśmy krew na opad krwi co osiem dni. Leczyliśmy dając wszystkim pacjentom rano i wieczorem, o ile była, *aqua calcis* (wodę wapienną) po łyżce. Wytężyłem wszystkie siły, aby z bloku swojego zrobić blok leczniczy, a nieuleczalnie chorych przerzucić na blok 10. czy też 11.

Pomysłowy bardzo dr Hermann w bloku 3. zrobił szkic aparatu do robienia odmy. Przy pomocy apteki, która nam dała flakony od rozczynów soli, rurki dostaliśmy z laboratorium, stolarze zrobili nam resztę aparatu. Gumy od słuchawek i igły do odmy dostaliśmy w cygańskim lagrze i tak powstał aparat odmowy na bloku 17. Współpracowaliśmy z wszystkimi lekarzami wszystkich bloków gruźliczych, wybieraliśmy wypadki nadające się do odmy. W moim bloku leżało ok. 40 pacjentów leczonych odmą, a poza tym ok. 20 ambulatoryjnie przychodziło na odmę. W niektórych wypadkach mieliśmy nawet bardzo

dobre rezultaty. W bloku pod moim kierownictwem miałem kilku lekarzy, m.in. specjalistę chorób płucnych dr. Juliusza Epsteina z Pragi, poza tym był dr Wasilewski z Wileńszczyzny, który po paru miesiącach pracy w bloku został przeniesiony jako lekarz do sauny. W okresie od wiosny do późnej jesieni przychodziły kolosalne transporty do gazu, w niektóre dni po 15–20 tys. ludzi. Byli oni bardzo bogato zaopatrzeni, oprócz żywności mieli bardzo dużo lekarstw. Doktor Wasilewski mając dość dobry dostęp do tych materiałów, przynosił z początku w kieszeniach zastrzyki *calcium* i inne lekarstwa, później podawał mi całymi walizkami przez druty. Strzykawek mieliśmy bardzo dużo, kilkanaście różnych rozmiarów oraz igieł do zastrzyków, dostawaliśmy je również od Wasilewskiego. Stosowaliśmy dożylnie zastrzyki wapna, podawaliśmy dużo witamin w postaci pastylek lub płynów, tabletki *calcium* i wiele innych środków. To też można powiedzieć, że w bloku miałem prawie wszystkie z lekarstw, jakie mi były potrzebne w dość dowolnej ilości, tak długo jak długo przyjeżdżały transporty „do komina" i jak długo Wasilewski był lekarzem w saunie. Lekarstwa te trzymałem pod dachem, gdyż według przepisów nie wolno było mieć ani jednej pastylki poza tym, co było przepisane. Nie wolno było brać z sauny, nie wolno było znikąd organizować. A jednak w szafce było przepisanych kilka pigułek, a resztę miało się schowaną i każdy lekarz, zależnie od jego sprawności organizował, jeżeli nie zupełnie to przynajmniej w części, potrzebne materiały dla swojego bloku. Na ogół można powiedzieć, że wszyscy lekarze robili, co mogli, aby ulżyć chorym i uleczyć ich.

Największą przeszkodą było żywienie, bo w blokach gruźliczych dawano to samo co i innym, tzn. ziółka zielone rano, zupę z łup kartoflanych w południe i czarną wodę nazywającą się kawą wieczorem. Chleb czarny w ilości 250 g, kawałeczek margaryny, marmolady lub suchy chleb. Głód panował tak samo w naszym bloku, jak i w każdym innym. Węgierskie transporty, które przywiozły bardzo dużo słoniny, a nawet sardynki i inne luksusowe produkty, pomogły trochę, ale raczej tym, którzy mieli znajomych w saunie. Na ogół wśród chorych niewiele to pomogło. Ci, którzy mieli paczki z domu, mogli się lepiej odżywiać, przychodzili bardzo często do dość znośnego zdrowia, szli nawet do lagru do pracy. Inni umierali [najczęściej z powodu] biegunki (*Durchfall*), dlatego karty śmiertelne przeze mnie podpisywane wyglądały prawie wszystkie identycznie: *Durchfall*, *Herzschwäche*, *Lungentuberkulose*.

Powstanie Warszawskie wstrzymało paczki, staliśmy się do końca wojny zdani jedynie na pożywienie, które dostawaliśmy w postaci porcji lagrowych. I wtedy wyraźnie wzmogła się śmiertelność we wszystkich naszych trzech blokach. Każdy z nas podpatrywał drugiego

lekarza naczelnego, jak duża góra trupów leży pod jego blokiem. Wciąż przychodzili nowi chorzy, wciąż bloki były przepełnione i gruźlica szalała. W moim bloku jak i w każdym innym było po kilku czy kilkunastu chorych takich, którzy mieli tylko małe, kliniczne objawy gruźlicy. Trzymało się ich ze względu na to, że byli potrzebni i spodziewaliśmy się stale, iż wojna zaraz się skończy. Nie posyłaliśmy ich do lagru, i tak do końca wojny ich przetrzymaliśmy, a to, że niektórzy z nich żyją, temu tylko zawdzięczają. Często nadstawiało się za to głowę, ale trudno, byli w lagrze bandyci, zabójcy, ale było bardzo wielu ludzi, którzy sami ryzykowali ratując wielu innych. Byłem w czasie swojej pracy kilka razy w bardzo ciężkich opałach, iż zdawało mi się, że już dostanę się do bunkra lub też na ciężkie roboty do kopalni węgla. Ale miałem szczęście.

Raz w bloku 16., tzn. *Waschraumie*, przedstawiałem swoich chorych do przeglądu lekarzowi lagrowemu. Zobaczył jednego dobrze wyglądającego pacjenta, zaczął mi wymyślać, że trzymam takiego zdrowego byka u siebie, sabotuję rozporządzenia. Na szczęście pacjent miał ładną kawernę pod prawym obojczykiem i wyraźnie wilgotne rzężenia pod łopatką, [tak] że śmiało mogłem powiedzieć, iż jest on gruźlikiem w bardzo ciężkim stanie mimo swego wyglądu. *Lagerarzt* zmierzył mnie wzrokiem, ale nie odważył się osłuchać pacjenta. Zwrócił mi tylko uwagę bardzo ostrym tonem, że jeżeli kiedykolwiek przyłapie mnie, a on już co nieco o tym słyszał, na przetrzymywaniu chorych, pójdę do *Kohlengruby*. Na ogół *Lagerarzt* był do mnie dobrze nastawiony, [od czasu mojej pracy] w bloku 8., ale humor jego zależny był od zwycięstwa czy przegranej na froncie. Jak było jakieś zwycięstwo i był przypadkiem w bloku, zawsze mówił, że prowadzę blok dobrze i pytał się, czym może jeszcze pomóc chorym. Wówczas proponowałem lepsze żywienie itd., na co on przystawał, ale z tego nigdy nic nie było. Gdy jakieś bitwy Niemcy przegrywali wpadał do bloków, w tym do mojego, wszystko mu się nie podobało, ściany były brudne, łóżka niemyte, podłoga źle wyszorowana, pacjenci źle badani, wszystko było *schweinerei*. Na wszystko odpowiadało mu się: „Jawohl Herr Obersturmführer" i na tym się kończyło.

W grudniu 1944 r. przyszedł do mnie do bloku z wyraźnie prowokacyjnymi pytaniami: „Czy ten gruby tam ma gruźlicę", odpowiadałem: „Tak jest". „A ten następny?" – odpowiadałem: „Tak jest". Pokazał mi jeszcze kilku innych, na wszystko odpowiadałem głośno, z mocnym przekonaniem: „Jawohl", ponieważ nie miał możności stwierdzenia, bo nigdy chorego nie dotykał, a czy za pomocą słuchawki byłby co poznał, to bardzo wątpię. Wobec tego na odchodnym powiedział mi, żebym wybrał ile mogę z pacjentów do lagru, bo oni potrzebują ludzi do pracy i żeby on więcej tych tłuściochów w bloku nie widział. Trzasnął drzwiami

i wyszedł. Parę osób istotnie musiałem wysłać do pracy, wielu innych jeszcze zostało, ale obserwowali oni każdy ruch *Lagerarzta*. Kiedy zbliżał się do bloku 17., który był blokiem ostatnim, wychodzili z bloku i chowali się, gdzie mogli do czasu, dopóki on nie wyszedł.

Naprzeciw bloku 17. był blok 18, w którym było 300–400 chorych, a właściwie ludzi wyczerpanych, inwalidów, starców i trochę ukrywających się. Blok ten nazywał się *Schonungsblock*. Z bloku tego prawie codziennie zabierano do lagru 20–30 osób. Wciąż przychodzili nowi, najwięcej było przysyłanych, warszawiaków z Powstania Warszawskiego przez Pruszków. Warszawiacy z powstania nie rozumieli nas na ogół, określali nas, więźniów, którzy lata przesiedzieli [w obozie] jako bandytów i twierdzili, że oni dostali się tutaj z winy jakichś durniów i łobuzów, którzy zrobili w Warszawie powstanie, którzy popsuli im interesy, z których dobrze żyli. [Uważali], że różnią się od nas i żądali nawet z początku innego obchodzenia się z nimi aniżeli z innymi więźniami. Trzeba było dość dużo czasu, żeby nawiązać z nimi bliższe stosunki i uświadomić im, że oni też są niczym innym jak ofiarami terroru niemieckiego, a Powstanie Warszawskie, jakkolwiek by kto na to nie patrzył, było zrobione przez warstwę graczy politycznych, ale walczących w Warszawie uznajemy za bohaterów, a ci, którzy przyszli do obozu są ofiarami bestialstwa niemieckiego. Później żyło się już z nimi dobrze. Część z nich wzięli do transportu SS-mani podczas ewakuacji obozu, część słabszych pozostała w obozie do czasu, aż została uwolniona przez Armię Czerwoną.

W bloku 17. przebywałem od lutego 1944 r. i pomimo, że chciano mnie kilkakrotnie przesunąć do innego bloku, broniłem się, jak mogłem i pozostałem. Blok 17. był ostatnim blokiem, [położonym] najbliżej krematorium i toru kolejowego, którym przywożono ofiary i wprost zawożono do komór gazowych. Były dni, gdy przywożono po kilka pociągów ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci prowadzonych za rączkę, dzieci w wózkach, wszyscy stali na szosie blisko toru. Pomiędzy torem a szosą prowadzącą do krematorium widziałem zawsze stojącego *Lagerarzta* Thilo z paroma SS-manami, którzy robili selekcję i kierowali w stronę krematorium ok. 80 proc. przywiezionych ludzi, a 20 proc. w stronę obozu. Ci, którzy szli w stronę obozu, byli to zdrowi mężczyźni i kobiety młode i bezdzietne. W stronę krematorium kierowano wszystkich starszych, ułomnych, słabszych, wszystkie kobiety, które miały większe lub mniejsze dzieci oraz te z oznakami ciąży. Ludzie z niektórych transportów nie orientowali się nawet o co chodzi, w innych wypadkach widać było od razu na szosie wielki niepokój i według informacji, zdarzało się, że matki, żeby uratować swoje życie, opuszczały dziecko w tłumie. Dziecko gubiło się i chwytało się sukni którejkolwiek z kobiet.

I tak pociąg za pociągiem przywoził chorych, i tak skierowywany do gazu sznur ciągnący się na setki metrów szedł dzień i noc do krematoriów, do II, III, IV i V. Wtedy, gdy przychodziło po kilkanaście pociągów, szedł wielki sznur ludzi ustawionych piątkami dalej poza krematoria, pod lasek do rowu i wśród słyszanego krzyku, strasznego krzyku, słyszanego przez nas wszystkich w obozie szpitalnym, buchał kolosalny ogień, [wysoki na] kilkadziesiąt metrów. Przy rowie była mała gazownia. Na szybko gazowano po kilkaset osób, w wielu przypadkach tylko częściowo zagazowanych wrzucano do rowów, a wiele dzieci wrzucano żywych wprost do ognia. To ostatnie opieram na relacjach zupełnie wiarygodnych ludzi i na podstawie krzyków oraz pisków jakie do nas najwyraźniej dochodziły. Tak krzyczeć mógł tylko człowiek, którego zabijano lub też, którego wrzucano w płomienie. Wszyscyśmy obserwowali ten objaw ze strasznym bólem, a nawet strachem, nie wierzyliśmy, że to jest prawda, pomimo, że patrzyliśmy i widzieliśmy na własne oczy straszne płomienie, słyszeliśmy straszny krzyk i te straszne sznury ludzi, którzy nigdy nie wracali, nikt nigdzie ich nie spotykał.

W rowie palono ich w ten sposób, że kładziono warstwy drzewa, które polewano jakimś zapalnym płynem, później wrzucano na to ofiary. Spalenizna ciał ludzkich z kominów i z rowów dusiła nie tylko w lagrze F, ale i w dalszych lagrach. Sam w taki dzień ogromnie kasłałem z powodu strasznego zaduchu. Pacjenci moi i w innych blokach gruźliczych, kasłali bez przerwy dniem i nocą, dusząc się [od smrodu] spalanych ciał. To trwało miesiącami, szli tak dzień za dniem. Koło bloku 17., jak gdyby dla ironii, Niemcy pozwolili na utworzenie placu sportowego, na który z różnych lagrów przychodzili w niedzielę, a nawet w niektóre dni powszednie, sportowcy footballowi składający się przeważnie z blokowych, kapo, *Vorarbeiterów* i grali w piłkę nożną, a publika, składająca się z więźniów patrzyła, ocierała łzy z dymu, bijąc równocześnie brawo przy wbiciu bramki.

Tak Niemcy potrafili deprawować nawet najlepszych ludzi. Zresztą niepodobna było w obozie stale opłakiwać to, co się działo naokoło, bo tak nigdy nie miałoby się szansy zobaczenia wolności. Dopiero późną jesienią zaprzestano selekcji i przywożenia chorych. Zaczęło się na większą skalę wywożenie materiałów po pomordowanych. Całe pociągi odchodziły z najpiękniejszymi ubraniami męskimi, damskimi, dziecinnymi, całe tysiące wózeczków dla niemowląt, setki tysiące par jedwabnych pończoch. Oczyszczano *Effektenkammer*. Było to ok. 30 bloków, każdy zapełniony ubraniami, rzeczami po zamordowanych o wartości wielu milionów, a może miliardów dolarów. Wywożono dzień i noc, później było widać wyraźnie, że brak im pociągów do wywożenia.

Przyszedł styczeń. Słychać było huki armatnie. Były coraz częstsze naloty na fabryki wokoło naszego obozu, najczęściej samoloty amerykańskie w liczbie po kilkadziesiąt, a nawet dostrzegaliśmy i ponad sto. Radość wielka panowała w naszym obozie, bomby waliły w przemysł niemiecki naokoło, a szczególnie, jak się orientowaliśmy, w Buna-Werke. Nocą także bywały naloty. Zdaje się były sowieckie. Oświetlano cały teren rakietami w rodzaju lampionów, które dla naszych oczu były cudownym widokiem, a dopiero radość napełniała serca nasze, gdyśmy słyszeli huk bomb i strzały artylerii przeciwlotniczej. Zaznaczę, że widzieliśmy bardzo dużo nalotów amerykańskich. Odłamki kul przeciwlotniczych padały u nas po dachu na ulicę tak, że spędzać trzeba było wszystkich chorych do bloków, ale nigdy nie widzieliśmy, żeby choć jeden samolot spadł. Jak zaplanowane były naloty niech będzie dowodem, że nigdy ani jedna bomba nie wpadła do naszego obozu, a baraki SS-manów zaraz przy obozie zostały zrównane z ziemią przez bomby samolotów amerykańskich, angielskich czy sowieckich. Tak upływał dzień za dniem. Niemcy wysyłali transporty za transportami z lagrów pracy, zarówno od nas jak i z innych obozów. W Birkenau z kilkudziesięciu tysięcy pozostało zaledwie kilkanaście tysięcy [ludzi].

18 stycznia w nocy, gong u nas w *Krankenbau* walił na alarm – a*lle Ärzte, alle Pfleger antreten*, i zbiegliśmy się przy bloku nr 1. Zastaliśmy tam *Lagerarzta* i kilkudziesięciu SS-manów, którzy kazali nam się od razu ustawić czwórkami. Za chwilę *Lagerarzt* kazał nam lecieć do bloków, poprzynosić kartoteki i wszystkie historie chorób. Ładowaliśmy to do wozu sanitarnego, który wywoził [te rzeczy] zaraz za lager i tam grupy SS-manów paliły wszystko to, co było w blokach i wszystko to, co było w *Schreibstubie*, w aptece czy laboratorium. Ja i paru lekarzy z naczelnym lekarzem prof. Epsteinem z Pragi, zostaliśmy zatrzymani do opiekowania się chorymi. Resztę wyprowadzono do Oświęcimia na pieszy transport. Rano znowu zwołano pozostałych lekarzy i wszystkich tych, którzy mogli chodzić i gdy ktoś stanął przed blokiem nr 1 pomaszerował w transporcie. Przyszło *Reinigungskommando*, pokropili wszystkie bloki *Effektenkammer* jakimś płynem zapalnym i [zaczął] szaleć straszny ogień. Zdawało się, że lada chwila nasze bloki się zapalą. Po obozie rozeszła się pogłoska, że za chwilę podpalą nasze bloki wraz z innymi i z chorymi [w środku]. Wielu było takich, którzy bali się zostać, namawiali wszystkich naokoło, że kto żywy, kto może chodzić niech idzie w transporcie. Wielu poszło. Ja i kilkudziesięciu innych ukryliśmy się. Oprócz nas pozostali obłożnie chorzy, których było przeszło tysiąc.

Polowali SS-mani jeszcze kilkakrotnie na nas, wciąż kogoś łapali, ale ja postanowiłem z miejsca się nie ruszać, bo nie wierzyłem w to, ażeby mogli zapalić nasze bloki i raczej stałem na

stanowisku, że nawet nie zdążą. Strzały artyleryjskie były coraz bliższe, słychać było karabiny maszynowe. Jeszcze raz przyszła gromadka SS-manów, obstawili ulice szpitalne z karabinami maszynowymi i wybierali spośród chorych [tych], co byli zdrowsi. Ja z moim szwagrem inż. Urbańskim uciekliśmy rowem w stronę krematorium II i tam przesiedzieliśmy kilka godzin, aż się uspokoiło. Zresztą już i poprzednio robiliśmy tam wypady w tych okresach, kiedy SS-mani przychodzili do lagru.

Nastał spokój. SS-manów nie było widać już od dwóch, trzech dni, artyleria grała coraz głośniej, coraz mocniej. Samoloty sowieckie coraz częściej pokazywały się na firmamencie, artyleria przeciwlotnicza przesunęła się nieco dalej, ale widoczne było, że ją znaleźli, bo padły bomby za lasem na nowe ich pozycje i więcej artylerii przeciwlotniczej słychać nie było. Zaczęły grać karabiny maszynowe.

W tym czasie kuchnia przestała funkcjonować. Nie dostarczano żadnego jedzenia. Zdrowsi chorzy z lagru F i zdrowsze chore kobiety z lagru E, rzucili się na magazyny, które rozbito i wtedy worki cukru, kasz różnego gatunku, dziesiątki kilogramów margaryny, konserw itd. zapełniły bloki. U siebie w bloku zaprowadziłem rodzaj komuny – wszystko musiano znieść do jednego miejsca. Nakazałem gotować dla wszystkich chorych. Chociaż ci, co przynieśli, nie oddawali wszystkiego, jednak tyle było jedzenia, że można było dokarmiać i tych, co leżeli ciężko, obłożnie chorzy i którzy wstać z łóżek nie mogli. W tym samym czasie kobiety z lagru E zajęły się naszą kuchnią i gotowały zupę dla chorych w męskim szpitalu i dla żeńskiego szpitala. Jedzenie było smaczne i obfite. Zrozumiałe było, że żywności nie było na długo. Zepsuło się bardzo wiele. To, co uchwycono mogło wystarczyć na kilka dni. Było dużą troską, co zrobimy za kilka dni, jeśli armia sowiecka nie wejdzie do lagru.

Ale stało się tak, jak sobie życzyliśmy – 28 stycznia 1945 r. ktoś przyleciał do mnie do bloku mówiąc, że widział żołnierza sowieckiego między blokami. Wyszedłem w stronę bloków kobiecych, tam już z różnych stron kobiety biegły i wołała każda, że gdzieś widziały żołnierzy Armii Czerwonej. Nie minęło pięć minut, a zaroiło się od żołnierzy sowieckich, którzy pytali się: „Nie widział ty germańca?". Odpowiadaliśmy, że nie ma. Były to pierwsze czujki. W pół godziny cały obóz, wszystkie drogi i wszystkie szosy zapełnione były żołnierzami. Wszyscy witaliśmy ich bardzo serdecznie. Widać było nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, rzucające się na szyje żołnierzom, dziękujące za wyzwolenie. Żołnierze sowieccy bardzo przychylnie ustosunkowali się do nas wszystkich i każdemu, kto mógł iść do domu, radzili iść. Pozwolili

zabrać wszystko to, co kto chciał, i tak saneczki napełnione kocami, ubraniami, żywnością, posuwały się w stronę Oświęcimia i dalej szosą w stronę Krakowa.

29 stycznia 1945 r. wziąłem plecak, do plecaka trochę chleba, nieco margaryny i poszedłem pieszo w stronę Krakowa, gdzie znalazłem się w trzy dni później. Szedłem przeszło 20 km dziennie pomimo tego, że byłem wycieńczony – skóra i kości. Byłem „muzułmanem", jak to nazywano w lagrze. Jednak radość z odzyskanej wolności dodawała mi sił. 31 stycznia wieczorem byłem już w mieście. Kilka dni później Rada Miejska miasta Krakowa obrała mnie prezydentem Krakowa, gdzie rozpocząłem urzędowanie w ubraniu z pasem czerwonym na spodniach i krzyżem czerwonym na plecach. Tak urzędowałem, aż żona po paru tygodniach przywiozła mi moje ubranie.